

EDWARD SZPRINGEL (SZPRYNGIEL)

BÓG NAS URATOWAŁ

[...] Urodziłem się w miejscowości Balarka, gmina Silno, powiat Łuck, parafia Derażne. Rodzina: było nas dwoje braci – ja, Edward, urodziłem się [w] 1933 r., a brat Romuald [w] 1935, też na Balarce. Mieliśmy dwa hektary ziemi, nowy dom drewniany. Żyliśmy skromnie. Ojciec dodatkowo dorabiał w lesie koło Cumania¹. Przed wojną ten las należał [do] Księcia Radziwiłła, który miał zamek w Ołyce. Ojciec miał trzech braci. Mój Ojciec miał na imię Adolf, bracia – Dyonizy, Franciszek i Adam oraz [Ojciec miał] siostrę Franciszkę. Nazwisko Ojca jest prawidłowo napisane w książce, a co do mojego nazwiska – podam na końcu mojego przeżycia².

Do roku 1943 mieszkaliśmy w swojej rodzinnej wiosce, w której nie było żadnych [innych narodowości] prócz polskiej. Jak weszli Niemcy na tereny Zabugowskie (zaznaczę, gdzie my mieszkaliśmy, [koło nas] było bardzo dużo wiosek ukraińskich: najbliższej naszej Balarki była wioska ukraińska Znamierówka³, [także ukraińskie] Lipno⁴, Majdanek⁵) – do wybuchu wojny nie było żadnego konfliktu między Ukraińcami a Polakami, byli małżeństwa mieszane, kumami byli dzieci chrzestnych, nie było żadnej wrogości. Natomiast nastąpił zwrot [w] 1943 r. zaraz w styczniu, ale to wszystko podburzali Niemcy. Byli ulotki w języku ukraińskim, żeby wykarczowali wszystkie krzaki, które rosną na ich ziemi, te krzaki oznaczali polskie wsie, a wówczas oni będą mieć Samostijną Ukrainę.

Otóż takim pierwszym chrztem padła wioska Parośla⁶. Powstała trwoga w[śród] ludności polskiej, zaczęto wystawiać [wszędzie] warty, tak samo w naszej wiosce.

A teraz opiszę takie zdarzenie. Pamiętam, była niedziela, to już było w lutym [1943 r.]. Nasze mieszkanie stało blisko drogi. Wchodzi do nas do domu stary wiekiem Ukrainiec, mówi, żeby dać napić się wody. Gdy wypił tę wodę, mówi tak: że zbliża się wielkie nieszczęście, na Polaków idzie Bulba, pali i morduje polskie wsie, kogo [bulbowcy] spotkają na swojej drodze, od niemowlęcia do starca, wszystkich mordują. Na końcu mówi do Ojca „Ty jesteś nieszczęśliwy”, a zwraca[jąc] się do Mamy, mówi „Ty *żenszczino* z Litwy jesteś *szczęśliwa, będziesz żyt[y]*”. Powiedział na koniec, żeby nie spać w domu, tylko po krzakach. Te słowa spełniły się.

Byliśmy na Balarce do połowy marca. Już spaliśmy po polach. W mieszkaniach było strach spać, żeby na śnie nie napadali.

¹ W zbiorach E. Siemaszko. Wieś ukraińska, w gm. Silno, pow. łucki.

² Autor listu nawiązuje do postawionego mu w liście pytania, czy figurujące w książce *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945* nieco inaczej brzmiące nazwisko jego zamordowanego Ojca, niż noszone przez niego, nie powinno być poprawione.

³ Też Znamarówka, wieś w gm. Silno, pow. łucki.

⁴ Wieś w gm. Silno, pow. łucki.

⁵ Wieś w gm. Stydyń, pow. kostopolski.

⁶ Chodzi o kolonię Parośla I w gm. Antonówka, pow. sarnieński, gdzie 9 II 1943 r. podstępnie wymordowano wszystkich mieszkańców i Polaków przypadkowo przebywających w kolonii lub przejezdnych, tj. co najmniej 150 osób.

To było 18 lub 19 marca [1943 r.]. Tej nocy spaliliśmy w domu. Wpada Ojciec do domu, mówi, że banderowcy palą wioski Smolijów⁷ i Per[e]łysiankę⁸. Zerwaliśmy [się] ze snu, cała wioska była na nogach, postanowiono, że będziemy uciekać na Hutę Stepańską⁹, tam była zorganizowana Samoobrona. Wzięliśmy tylko, co niezbędne. Udaliśmy [się] na Hutę Stepańską, zamieszkaliśmy na obrzeżach Huty u znajomych. Na drugi dzień Ojciec i jeszcze kilku odważniejszych mężczyzn poszło zobaczyć na Balarkę, co się stało. Z Huty na Balarkę było około 25 km. Ojciec mówi – jeżeli wioska nie będzie spalona, to pozostanie. W domu krowa, drób został. Po paru dniach część [po]wróciła, jak zobaczyli, że nasza wioska nie została napadnięta. Ja, brat i Mama pozostaliśmy na Hucie Stepańskiej, już nie powróciliśmy.

Banderowce napadli na naszą wioskę 9 maja 1943 r. Ojciec był w tym czasie w domu, gotował jedzenie, otwiera drzwi kuzynka i mówi „Wujek, uciekaj, bo jest napad”. Wyszedł z domu. Było już widać, jak z lasu zaczynają okrążać wieś. Ci, co byli [w swych zagrodach], zaczęli uciekać w kierunku małej rzeczki, tam szukali schronienia. Tam również Ojciec uciekł. Ta banda, jak weszła do wioski, zaczęli palić stare domy. Nasz[ego] nie spalili, gdyż był nowy i kryty był gontem. Parę osób zostało z naszej wioski zamordowanych. Ojciec nad ranem przyszedł do nas na Hutę. Z domu wszystko zabrali, nawet [to], co było zakopane – i to poznachodzili i zabrali.

Tak razem byliśmy do chwili napadu na Hutę Stepańską, do dnia 17 lipca 1943 r. Do napadu na Hutę Stepańską [banderowcy] wykorzystali noc. Spaliliśmy w domu, jak zaznaczyłem, na obrzeżach, a cała obrona mieściła się w obrębie szkoły i kościoła. Tam byli pokopani okopy, zasieki z drutu. Jak wyszliśmy z domu, to tylko był świst kul zapalających i palące [się] domy i stodoły. Zaczęliśmy uciekać w kierunku tej szkoły, naprzeciw tych kul, ale jakoś szczęśliwie dotarliśmy do tych okopów, nikt z nas nie został trafiony. Zrobił się poranek. Jak zobaczyliśmy, to była ogromna ilość ludzi. Dzieci, starców i kobiet zaczęto chronić do szkoły (była piętrowa i murowana) i do tych okopów, a mężczyzn wszystkich [wzięli] do obrony – dawano widły, kosy, kto miał broń, żeby nie dopuścić tych bandziorów do szkoły i [ocalić] parę domów, co zostali, bo dalsze wszystkie byli [już] spalone – tak, że ten pierwszy atak został odparty. Do wieczora nie było ataku. Wyszła burza, zlał deszcz – staliśmy po kolana w tych okopach w wodzie. Ojciec przyszedł do nas do tego okopu, to Mama mówiła – żeby przyszedł, jeżeli będą uciekać ludzie z Huty, to razem będziemy trzymać się, żeby nie zgubić się. Parę minut był z nami i musiał iść na obronę i to było nasze ostatnie spotkanie.

Nad ranem zrobiła się panika, że wszyscy z Huty uciekają na Rachwałówkę¹⁰, tam jest stacja kolejowa i Niemcy, tam będzie bezpieczniej. Mama, ja i brat czekamy [w] tym okopie na Ojca. Nie przychodzi. Mieliliśmy jakieś rzeczy, nie ma komu to nieść. Zrobił się krzyk, wołanie. Było jakieś dowództwo, starszy ospokaja, żeby nie iść, trzeba bronić się, a nie uciekać. Część zbuntowała się i zaczęła iść w kierunku wioski Wyrka¹¹. A my czekamy, Ojca nie ma, nie wiemy co robić, iść czy zostać. Podchodzi do nas kuzynka, moja siostra cioteczna, i mówi „Idziemy Ciotka, a Wujek na pewno też idzie”. I poszliśmy, może uszliśmy z kilometr od Huty

⁷ Kolonia polska w gm. Derażne, pow. kostopolski.

⁸ Kolonia polska w gm. Derażne, pow. kostopolski.

⁹ Wieś polska w gm. Stepań, pow. kostopolski. Ośrodek Samoobrony polskiej od lutego 1943 r. do 18 VII 1943 r.

¹⁰ Nazwa lokalna, winno być Rafałówka, kol. i stacja kolejowa w gm. Rafałówka, pow. sarnieński, na północo-zachód od Huty Stepańskiej.

¹¹ Wieś polska w gm. Stepań, pow. kostopolski.

Stepańskiej, słyhać strzały z tyłu tego transportu ludzi. Kto miał, to jechał wozami, a większość szła pieszo, to każdy podążał do przodu, bo z tyłu strzelają na pewno banderowce.

Doszliśmy do Wyrki, pali się młyn. Znajomy mówi do Mamy, [że] to jest zły znak, że to będzie jeszcze masakra. Podeszliśmy jeszcze paręset metrów, strzał z przodu, tak że cała kolumna zatrzymała się. A byliśmy na drodze, z jednej strony krzaki, łąka, z drugiej było zboże, żyto. Jak zaczęli strzelać, krzyczeć „ryzat Lachów”, niesamowity zrobił się krzyk i jęk rannych. Ta cała banda szła na Hutę, ale jak posłyszeli, że idą Polacy, to zrobili zasadkę, z tyłu zaczęli strzelać, żeby szybciej mieć w swoich rękach tych bezbronnych ludzi. To my z Mamą weszliśmy do tego żyta, był mały kawałek. Pokładliśmy się w bruzdzie i leżymy. Wokół nas słyhać ukraińską mowę, było słyhać „rubaj, derżyj Lachów”. Jakie było szczęście, że oni nie weszli do tego żyta. To my tak doleżeliśmy do nocy, ta banda poszła do Huty, było słyhać jęki rannych, ludzi i zwi[e]rząt.

Wyszliśmy z tego żyta i mówimy, że pójdziemy do Rachwałówki. Mama nie знаła tej okolicy. Idziemy drogą, zbliżamy się do nieznannej wioski, stoją jeszcze domy, ale nie widać żadnych ludzi. Idziemy dalej tą drogą, przed tą [?] krzyżówki [?], widzimy, leży zabity człowiek. Jest drogowskaz, napisy są niemieckie, nie wiemy, którą drogą jest właściwie [iść]. W jedną idzie linia telefoniczna, to idziemy tą drogą. Widać las i pali się ogień, to mówimy, że to są Polacy, czekają aż rozwidni się, wejdą do wsi, żeby zabrać swoje rzeczy. Szybko robi się widno. Brat mówi: chowajmy się do żyta, bo to będą Ukraińcy. Jeszcze wahamy się, co robić, ale wchodzimy do żyta – parę tych zagonów. Za parę minut słyhać, że idzie grupa ludzi, słyhać rżenie koni. Jak podeszli pod żyto, to słyżym[y] głos: „Halo, tu nada charaszeńko perejsty przez te żyto”. Słyżymy – za tym żytem jedzie [ktoś] końmi. Za chwila idzie środkiem zagonu tego żyta Ukrainiec, za pasem ma nóż, a my leżym w bruzdzie. On jak szedł prosto, tak poszedł. To już była pierwsza śmierć na włosku.

To my tak jeden dzień, noc, drugi dzień nic nie jedli, tylko było wielkie pragnienie wody. Ta banda, jak minęła nas, weszli do tej wioski. Jak zaczęli palić, grabić, prawie do wieczora tam byli. Z powrotem wracali już drogą, a my w dalszym ciągu w tym życie. Jak nastał wieczór, wyszliśmy. Była sadzawka, napiliśmy [się] tej wody do syta. Mówimy – dojdziemy do tego skrzyżowania dróg, inną drogą pójdziemy. Jak zaczęliśmy iść, idziemy przez las, słyhać pieją koguty. Mówimy, że to wioska ukraińska. Wychodzimy z tego lasu. Widzimy – Huta Stepańska całkiem spalona, tylko mury stoją ze szkoły. Weszliśmy znowu w żyto. Było spalone zabudowanie, urwaliśmy parę wisien i grochu, żeby zaspokoić trochę głód. Słyhać turkot wozu, wysiadają Ukraińcy i zaczynają zabierać krowy, świnie. Jeden Ukrainiec idzie w te żyto i łapie kury. Przeszedł obok nas, nie zobaczył... Tak dosiedzieliśmy do wieczora.

W nocy poszliśmy tam, gdzie mieszkaliśmy [w Hucie Stepańskiej], żeby coś znaleźć, czym[ś] nakryć się. W nocy znaleźliśmy koc i parę jajek. Mówimy – jak odpoczniemy, to pójdziemy do swojej wioski Balarki. Tam niedaleko mieszkał Ukrainiec, który był ożeniony z Matki ciotką. Może on nas nocą wywiezie do Cumania, to tam są Niemcy, to będzie bezpiecznie. Trzy razy podejmowaliśmy próbę dojścia do tej miejscowości, [byliśmy] blisko naszej wsi, nie mogliśmy trafić.

W końcu mówimy, że zginiemy z głodu. Pokarm[em] był groch, marchew, z początku byli jeszcze jaja, potem kury wyłapali i koniec. Raz poszliśmy pod spalony dom, był [tam] sad – [chcieliśmy] urwać gruszek, jabłek. Słyżymy, jedzie wóz. Znowu weszliśmy do żyta. Wóz ten staje, słyhać głos[y] męskie po ukraińsku i wołają psa. Słyhać – szeleszczy żyto, staje przed nami wilczur i patrzy na nas, ani warknął, ani szczeknął, obraca się i z powrotem poszedł. To był drugi przypadek ze śmiercią.

Pod koniec naszej tułaczki w żyta[ch] już bali[śmy] się siedzieć, bo zaczęli kosić. Siedzieliśmy w krzakach – łoża, olcha. Ja z bratem rano poszliśmy poszukać tej marchwi, wracamy w te krzaki, było rano, rosa. Tylko weszliśmy do tych krzaków – Mama nakryła nas, bo komary mocno gryzły – słyszymy rozmowy męskie. Ukraińcy. Idzie trzech z karabinami, dwóch idzie w kierunku żyta, a jeden po naszych śladach prosto w te krzaki i znowu staje się cud. Stanął trzy kroki przed nami, popatrzył, obrócił się i poszedł. I mówi do tych dwóch, że nie ma nikogo. Rzucają granat w żyto i poszli.

Na wieczór wyszliśmy z tych bagien, idziemy do większego lasku, tam rośli jagody. Można będzie czym[ś] zaspokoić głód. Wodę piliśmy – deszczówkę. Z początku liczyliśmy, ile dni jesteśmy [w wędrowce], w końcu już nie pamiętali[śmy]. Straciliśmy rachubę czasu.

Tam, gdzie był nasz ostatni przestanek chowania się, była spalona kuźnia. Siedzimy w tych krzakach, zaczęliśmy kaszlać, byliśmy przeziębieni – cały czas pod gołym niebem. Słyszymy, że na[d]jechali Ukraińcy kosić te zboża na Hucie. Słysząc, że na tym spalisku ktoś wybiera żelazo. Nie mogliśmy powstrzymać kaszlu. Słyszymy trzaska gałąź. Za nami stoi Ukrainiec, popatrzył i poszedł. Mówimy, żeby uciekać, ale nie ma gdzie, bo naokoło są już oni. Za parę minut patrzymy – okrążają ten las, a ten, co zobaczył nas, prowadzi dwóch banderowców do nas, karabiny wycelowane w naszym kierunku. Ja, Mama i brat klękamy na kolana i prosimy, żeby nas nie zabijali. Całujemy po nogach, oni odpychają, mówią, żeby iść z nimi do wozu. Wyszliśmy z tego lasku, a ich tam jak mrówek, i kobiety, [i] dzieci. Patrzą na nas, jak [na] zjawisko – nie wiem jak my[śmy] wyglądali. Wsadzili nas na wóz i więżą do pułkownika na wioskę Rudnia¹². Przejeżdżamy koło szkoły i zgłiszcz kościoła [w Hucie]. Mówią do nas te banderowce, że tu zostało zabitych [wielu] Polaków, te zwłoki były pozasypywane tak prowizorycznie. Zawie[ź]li nas do tego sztabu, jed[e]n poszedł, z tych co nas złapali, po pułkownika. A my w trójkę stoimy i płacemy. Przychodzi ten pułkownik, broda po pas. Pyta nas, czego my jechali na tę Hutę – co, chcieliście Polskę budować, kto pomagał bronić? My mówimy, że my nic nie wiemy. Mówi, żeby zaprowadzić nas na kuchnię, dać jeść. A oni naradzo się, co z nami zrobić. Nalali pełne miski barszczu, na pół z mięsem. Jak tu jeść – śmierć przed oczami. Po pewnym czasie przychodzi do nas i mówi, że tej nocy będziemy spać u sołtysa. Zaprowadził nas. Żona tego sołtysa, jak zobaczyła nas, zaczęła też płakać, mówi, czego my dali się złapać. Daje [nam] jeść, [a my] też nie jemy. Przeszedł jej mąż, mówi, że może nas tu zostawią. Ja będę pas[ł] krowy. A Mama z bratem zostanie przy kuchni pomagać. My[śmy] całą noc nie spali, czekali[śmy], że w każdej chwili mogą przyjść i zamordować.

Rano przychodzi od pułkownika banderowiec z kartką, żeby przeczytać – to było pisane po ukraińsku. Czyta ten sołtys, że nas odst[aw]iają do Dużych Studzin¹³. Tam jest taki pu[n]kt. Kogo złapią, to tam mieszkają i ma on nas tam zaprowadzić. Żona tego sołtysa mówi wprost, że tam jest *zwiazok*, około 15 Ryzunów, tam nikt żywy nie wyjdzie. Mówi, że przed nami złapali nauczycielkę z synem, która uczyła tam dzieci, [i] też zamordowali w okropny sposób. Wyprowadza nas, daje na drogę chleba, mówi ta Ukrainka, że „może ten chleb was uratuje”, żeby wziąć. Prowadzi nas ten bandzior. Było dosyć daleko do tych Studzin. Zaprowadził na[s] przed zachodem słońca. To mieszkanie było blisko lasu. Nim weszliśmy do domu, Mama mówi do nas: „ostatni raz widzimy te słońce”. Wchodzimy do tego mieszkania. Siedzi przy stole rosły Ukrainiec, on jest głównym hersztem. My od razu łapiemy jego za nogi

¹² Wieś ukraińska w gm. Stydyń, pow. kostopolski.

¹³ Nazwa w lokalnym polskim brzmieniu. Nazwa prawidłowa Stydyń Wielki, wieś ukraińska w gm. Stydyń, pow. kostopolski.

i ręce, całujemy, prosimy, żeby darował nam życie, a jak nie, to żeby [nas] rozstrzelali, a nie mordowali. On na n[a]s nawet nie spojrział. Kazał wyjść z pokoju. [W] tym czasie wrócili jego rodzice i żona z pola, od razu płaczą i krzyczą na nas, czego my dali się złapać, oni nie mogą patrzeć, jak wyprowadzają z mieszkania na śmierć. A ta zgraja, jak zobaczyła nas, co za radość, że jest nowa zdobycz. Kazał iść im do lasu i zbić jakieś *chresty*. W końcu wyszedł z tego pokoju, przyniósł siano, pościelił, kazał żonie dać jeść i mówi tak do nas, że ta noc dla nas będzie spokojna. A on w nocy zadecyduje, co z nami zrobić.

W nocy słyszeliśmy, że żona [o] coś z płaczem jego prosiła. Rano żona mówi do Mamy, żeby modlić się, może Bóg natchnie jemu myśl i daruje na[m] życie. A jego rodzice, jeszcze szaro było, poszli w pole, żeby nie patrzeć, jak będą nas zabijać.

Już słońce było wysoko na niebie. Wychodzi on z pokoju i uśmiecha się do nas. Mówił, że „Ja wam daruję życie, idźcie gdzie chcecie. Ale was drudzy złapią”. [I dalej mówi, że] jeżeli los tak sprawił, że my[śmy] dostali się w [jego] ręce, [to] pozostaniemy [w] Dużych Studzinach. Mnie zostawi blisko u kowala, będę pas[ł] krowy, a Mama z bratem będzie u jego teściowej, [tam] trzeba pomagać w gospodarstwie.

Mama mówi, że to tylko chcą nas rozłączyć, żeby[śmy] nie [mogli] widzi[e]ć, jak będą nas mordować. Ja zostałem u tego kowala, miał na imię Iwan, po polsku dobrze mówił, uczył się u polskiego kowala. Proszę [sobie] wyobrazić, jak ja czułem się sam w nieznanym miejscu. Przez trzy dni nic nie wiedziałem, czy Mama z bratem żyje, czy nie. Na czwarty dzień zaprowadziła [mnie] matka teg[o] Iwana do Mamy, zobaczyłem brata żywego oraz Mamę.

Nie napisałem, ile dni błąkaliśmy się na tej Hucie. Ten cały przywódca tego *związku* (miał na imię Piotr), to sam dziwił się, że my w takich warunkach przeżyli[śmy] 34 dni, [nie jedząc] nic gotowanego, ani chleba, tylko groch, marchew, czasami jabłko, a woda z deszczu.

Jak byliśmy w tych Studzinach, to była okazja wydostać się. Czasami pojawiali się partyzanci¹⁴. Ale [w tym czasie] mnie ten Iwan zabierał w innym kierunku, a Mamę z bratem ten gospodarz Kuźma też w innym kierunku. Mama miała większą okazję wydostać się, ale mnie nie chciała zostawić. Byliśmy w tych Dużych Studzinach prawie 6 miesięcy.

Będę już streszczał się. Tylko jeszcze jedno opiszę o sobie. Po pewnym czasie zaczęły wychodzić u mnie na ciele wrzody, jeden pękał, to robił się następny. Ta żona kowala mówi do męża – idź do Petra, żeby mnie zabrał, niech zrobi, co zechce, bo ma małe dziecko, [boi się], że zarazi się. On miał lepsze serce, kazał swojej matce zaprowadzić mnie do lekarza, do wioski Hutwin¹⁵. Jak zobaczyła ta lekarka, jak ja wyglądam, to zapłakała. Dała maści. Tym smarowałem się, pogoilo się.

Jak wracałem z powrotem do Studzin, ta matka Iwana mówi „Ty Edik, idź sam”, a ona zajdzie do znajomych. Ja poszedłem, na drodze zatrzymali mnie chłopcy, które paśli krowy. Od razu poznali, że ja Polak, po mowie. W tym czasie jedzie wóz banderowców. Mówią, że zatrzymali polaczka, biorą mnie na wóz, wiozą do lasu – już śmierć... Ja proszę ich i mówię, że my tu mieszkamy, że nam życie darował Pietro. Mówią, żeby[m] ja przeżegnał się, zawiozą i sprawdzą, czy prawdę mówię. Zajeżdżają pod dom tego Petra, on wychodzi na podwórko i mówi „Edek, czego oni ciebie wiozą?”. Jak oni to usłyszeli, kazali iść do domu, do tego kowala. Potem spotkał mnie ten Pietro, mówił, co ja miałem za szczęście, że oni mnie nie zabili.

¹⁴ Była to partyzantka sowiecka. W tym czasie w tej okolicy nie istniały żadne polskie (akowskie) oddziały partyzanckie.

¹⁵ Kolonia polska, w gm. Stydyń, pow. kostopolski, w której żyło kilka ukraińskich rodzin. Polskie domy zostały spalane w lipcu 1943 r.

Byliśmy w ich rękach do lutego [1944 r.], aż przyszła ofensywa armii radzieckiej. Niemcy zaczęli cofać się. Weszła armia do Studzin, był [tam] obóz zapasowy, dowoził żywność i zabierał rannych. Mama zaczęła prosić dowódcę tego oddziału, żeby nas zabrali, jak będą wychodzić. Zgodził się. Oni stali dwa tygodnie. My[śmy] pomagali obierać ziemniaki na kuchni. 10 lutego 1944 roku w nocy wyruszył ten oddział w kierunku Klewania¹⁶. 12 lutego 1944 roku byliśmy w Klewaniu. Tam nas [Sowieci] zostawili. Mówi naczelnik „Tu jest władza radziecka”, już bezpieczni jesteśmy.

Jak weszliśmy do mieszkania w Klewaniu, też [był to] ukraiński dom, od razu poznaliśmy, że jesteśmy Polakami. Mówią, że tu jest parę rodzin polskich i pokazali, gdzie mamy iść. Zaszliśmy [tam] – jak usłyszeliśmy polską mowę, rozplakaliśmy [się], że zobaczyliśmy Polaków.

Kończę tę swoją epopeję.

A teraz co do nazwiska. Ojciec miał przy sobie papiery, a Mama żadnych. W Klewaniu trzeba było zameldować się, nie było czym [się] okazać. Myśmy przyszli do Klewania prawie gołe i bose. Poszliśmy do księdza w Klewaniu. Na podstawie dwóch świadków wypisał metryki urodzenia. Zamiast napisać Szpryngiel, to było napisane Szpringel. Jak byli stare dowody [osobiste], to było napisane prawidłowo, jak potem zaczęli wymieniać na nowe dowody, trzeba było zdawać metryki i napisano tak, jak w metryce. Właśnie na tym niedopatrzaniu powstał błąd i obecnie tak pisze się nasze nazwisko.

Co do Ojca, to z całą wiarygodnością stwierdzam, że jest moim ojcem. Adolf Szpryngiel, syn Marcina i Emilii, ur. [w] 1895 r. Znalazłem jego nazwisko w wykazie osób poległych na Hucie Stepańskiej, strona 290 [książki *Ludobójstwo...*]. Jak przyjechaliśmy na Ziemię zachodnie, szukaliśmy Ojca przez różne instytucje, znajomych – nikt nic nie wiedział o nim. Dzięki tej książce, którą miałem zaledwie dwa dni, przypadkowo dostałem od sąsiada, też Wołyniaka, który ma w swojej rodzinie zamordowanych dwóch braci i ojca. Pragnąłbym mieć tę książkę na pamiątkę dla siebie i swoich dzieci. Tylko, że jest droga i nie wiem, czy na raty mógłbym dostać.

Proszę wybaczyć, może są błędy w mojej pisowni. Zaznaczę, że żyje mój brat w Gorzowie Wlkp. Matula umarła w 1972 r. To, co opisałem, to i tak [w] wielkim skrócie. Nie życzę najgorszemu wrogowi tego, co my[śmy] przeżyli w tych latach 1943–1945, głodu-chłodu, i śmierć była w każdej chwili.

Jestem ogromnie wdzięczny Państwu, że mogłem opisać swoje przeżycia. Jednak spełniły się słowa tego starego Ukraińca, który powiedział, że Matula i my dzieci szczęśliwe. W każdym narodzie są dobrzy i źli ludzie.

I jeszcze na koniec napiszę co do tych banderowców. Otóż oni nas nie uderzyli, ani wulgarnym słowem do nas nie odnosili się. Tylko ci gospodarze – tam, gdzie ja byłem – oraz Mama z bratem, to kilka razy powtarzali, co my mieli[śmy] za szczęście, że ci pierwsi, co nas złapali, od razu nie zabili, tylko zawieźli do wioski i tam nas oddali w ręce innym.

Tak na koniec. Jak już byliśmy w tych Dużych Studzinach (w języku ukraińskim to może inaczej brzmieć ta wioska), był [tam] Polak z rodziną, który trudnił się szukaniem wody i kopał studnie. Dwa tygodnie [jeszcze] żył, jak my już tam byliśmy. Potem dowiadujemy się, że został z rodziną zamordowany. [...]

¹⁶ Miasteczko w gm. Klewań, pow. rówieński.

[...] Pragnę jeszcze Państwu opisać parę fragmentów z naszego przeżycia. Jakie jest mocne ludz[k]ie serce. Jak nas mieli prowadzić z Rudni do Studzin, na ten *związok*, to żona tego sołtysa mówi do nas „Jak człowiek długo może się męczyć, nim skona. Dwa tygodnie przed wami złapali Ukraińcy kobietę z synem. Przebili do drzwi w stodole piersiami, z pleców cięli żyw[c]jem pasy, potem oderwali, przebili plecami. Jak z przodu zaczęli ciąć, dopiero ta matka z synem skonali”. Ja z bratem i Mamą słuchamy, wiedząc świadomie, że idziemy na okrutną śmierć i serca nasze wytrzymali.

Jak byliśmy już rozdzieleni tej nocy w Studzinach, to Mama z bratem trzy razy w nocy wychodziła, chciała utopić się w stawie, ale brat płakał i mówił, żeby nie topić się, może Edek żyje.

Ja miałem takie zdarzenie. To był początek stycznia 1944 r. Rano budzi mnie ten Iwan, nazwiska nie pamiętam. Mówi tak, że w nocy była jakaś partyzantka na futorach niedaleko jego domu i powiedzieli, że może kto przechowuje Polaków, żeby powiedzieć, to na miejscu zabiją. Daje dla mnie bochenek chleba, kawałek słoniny i mówi: „idź do Matki, jak mają zabić, to niech was razem zabiją”. Ja przychodzę do Mamy, [a] w tym czasie ten gospodarz, co była Mama z bratem, mówi, że Matka mieszka sama w takiej opuszczonej chacie z powodu [tego], że brat dostał takiej wysypki i wrzodów jak ja. [Ci gospodarze] mieli dwoje dzieci, [bali się,] żeby nie zarazić ich. Ja przychodzę do Mamy, cały zmarznięty, był silny mróz, [Mama] pyta, co się stało. Ja mówię, że „Iwan kazał iść do Ciebie, że jakaś partyzantka była w nocy, że zabiliby Polaków”. Mama płacze, że już koniec naszego życia. Poszła po wodę, zobaczył starszy Ukraińiec i pyta się, czego mama płacze. Zaczęła opowiadać. On mówi „Kobieto, nie płacz, to nieprawda. To była partyzantka, ale tam byli Polacy, oni chcieli podejść sposobem, że może ktoś [Polaków] przechowuje, takim sposobem chcieliby uratować”¹⁷. Ja byłem z tydzień z Mamą i bratem, potem wróciłem do tego Iwana, bo nie było co jeść. Mama w dzień chodziła do tego gospodarza robić, a na noc wracała do tej chatki. [To] też był wielki cud, [bo tam] w każdej chwili mógł przyjść banderowiec i [nas] pomordować.

Jak jeszcze chowaliśmy się na Hucie Stepańskiej, spaliśmy w życie. Pewnej nocy słyszymy, szeleści żyto, idzie ktoś do nas. Mówi Mama, że to Ukraińcy – zobaczyli w dzień, gdzie my ukrywamy się, a teraz w nocy nas zamordują. Tak za chwilę staje przed nami duży pies. Jak Mama patrzy, a ten pies łaszczy się i lizi po rękach. To był pies sąsiada z Balarki. Wyczuł nas i przyszedł. Mówimy, że teraz będzie jeszcze gorzej, no bo w dzień będzie szczekać. Zaczęliśmy [go] odpychać i poszedł, i więcej do na[s] nie przychodził.

Ja nieraz myślę, co człowiek może przeżyć. Jak nas złapali i darowali też życie, zaczęli dawać jeść, nie było żadnej diety, żadnych środków ostrożności, [a] po tak długim okresie postu nie było żadnych komplikacji żołądkowych. Mama mówiła, że to Bóg nas ocalił, że przeżyliśmy niesamowity koszmar.

Kończę te swoje wspomnienia, oby już nigdy nikogo nie spotkało to, co przeżyli Polacy na Ziemi Wołyńskiej. [...]

List Edwarda Szpringela (Szpryngiela), byłego mieszkańca kolonii Balarka (gm. Silno, pow. łucki) do Ewy i Władysława Siemaszków, datowany 2 października 2001 r.

¹⁷ W ostatnich dniach grudnia 1943 r. przez tę okolicę maszerował z Zaslucza (część gm. Ludwipol w pow. kostopolskim, po prawej stronie rzeki Stucz) do Przebraża oddział partyzancki AK „Bomby”, udając dla własnego bezpieczeństwa banderowców.